

ŚW. MAKSYMILIAN KOLBE I JEGO PIERWSZY BIOGRAF

130 lat temu - 25 VIII 1891 r. urodził się w Karwinie Augustyn (Gustaw) Morcinek, od 1919 r. mieszkaniec Skoczowa, nauczyciel i największy śląski pisarz. W latach 1939 – 1945 więzień obozów koncentracyjnych w Skrochowicach, Oranienburgu i Dachau.

* * *

80 lat temu – 14 VIII 1941 r. w bloku śmierci w obozie oświęcimskim zginął śmiercią głodową franciszkanin ks. Maksymilian Maria Kolbe (1894 – 1941), współpatron diecezji bielsko-żywieckiej.

Gdy Rajmund (właściwe imię) Kolbe miał ok. 12 lat, podczas prywatnej modlitwy w pabianickim kościele prosił Matkę Bożą, by mu powiedziała, kim będzie. Opowiadał później matce, że pokazała mu się wówczas Matka Boża, trzymająca w ręce korony białą i czerwoną. Zapytała, którą z nich chce otrzymać. Biała oznaczała wytrwanie w czystości, a czerwona – męczeństwo. Chłopiec wyraził wówczas chęć otrzymania obu.

GUSTAW MORCINEK

PATER KOLBE (1945) – DWIE KORONY (1948)

W 1947 r., po powrocie z emigracji poobozowej, Morcinek pracował nad książką „Zagubione klucze”. Równolegle rozważał plany następnej książki o ojcu Maksymilianie Kolbem.

W listach do ks. Michalskiego przedstawił zarys książki, której źródłem stało się opowiadanie „Pater Kolbe”, zamieszczone w zbiorze poobozowych tekstów „Dziewczyna z Pól Elizejskich”, wydanych w Paryżu w 1945 r. Po przeczytaniu tego opowiadania zakonnicy z Niepokalanowa zwrócili się do pisarza z propozycją napisania większej powieści. Morcinek, podobnie jak było z książką o św. Teresie, poczuł, że zadanie przerasta jego możliwości, gdyż nie jest w ogóle w stanie pojąć istoty życia zakonnego. Niemniej podjęte zobowiązanie było już faktem.

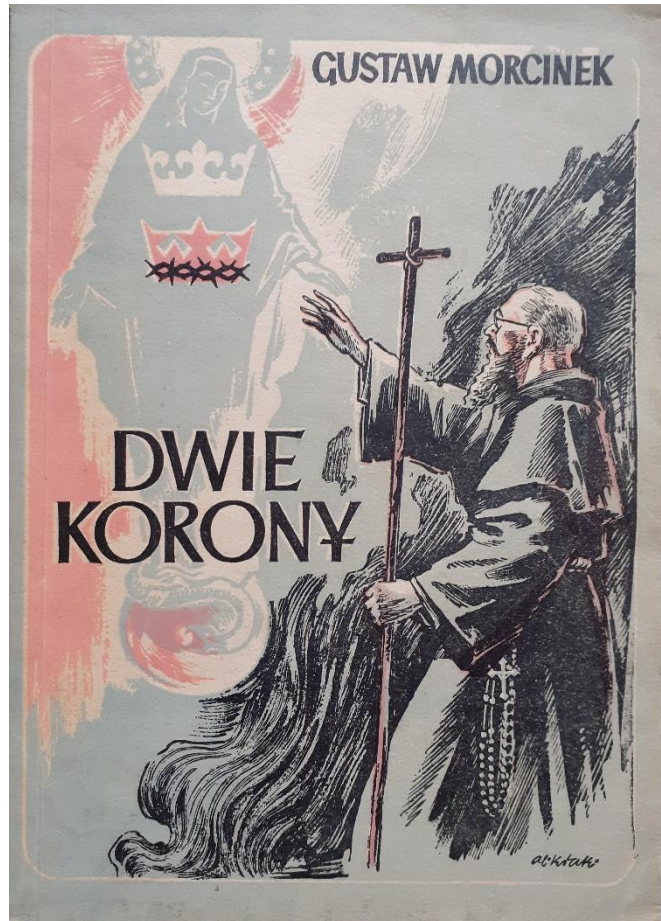


W lipcu 1947 r. pojechał do Niepokalanowa, żeby zobaczyć z bliska miejsce, w którym żył ojciec Maksymilian. Ale doznał dziwnych uczuć – fascynacji i przerażenia. Już wiedział, że to co napisze, będzie słabe, bo takie zagadnienia jak życie zakonne i istota świętości są mu zupełnie obce. Maksymiliana Kolbego podziwiał tylko jako człowieka, a to było zbyt mało.

Od początku 1948 r. pisał Morcinek opowieść o Maksymilianie Kolbem z nieustającą świadomością płycizny tego, co tworzy. W sierpniu ukończył „Dwie korony”.

Ze wstępu do „Dwóch koron”.

„(...) I teraz przychodzi wojna, a człowiek zdumiony widzi, że wszystkie tamte wartości bankrutują, że nie wytrzymują próby życia, że załamują się i padają w gruzy pod wtór jęków i charkotu konającego człowieka, w ciężkich dymach krematoriów, w zduszonym krzyku w komorze gazowej, w czołganiu się ludzkiego truchła. Człowiek, ten wspaniały człowiek „król wszelkiego stworzenia”, okazał się szatanem, wiara w wartość moralną natury kazała mu mordować wszystkich chorych, słabych, starych i kaleki, jako przedmiot nieużyteczny – jak to czynił Hitler – a wiarę w potęgę rozumu ludzkiego, mającego zapewnić człowiekowi szczęście na ziemi, podważyła złość ludzka i strąciła w czeluście piekieł. Bo oto ta złość ludzka kazała te wszystkie zdobycze rozumu ludzkiego zastosować w skuteczniejsze



mordowanie człowieka po drugiej stronie. Przerażony człowiek stanął zdumiony przed rozpętanym złem, wylęknionym w czeluściach serca ludzkiego, gdy ujrzał się w obliczu poburzonych miast, w kręgu wygaśniętych już dzisiaj krematoriów, zagubiony wśród milionów bezimiennych mogił, rozsianych po całym świecie, a przede wszystkim, gdy dostrzegł, że stał się świadkiem największej zbrodni, jaką jest krzywda wyrządzona człowiekowi przez człowieka.

Załamano się przeto, sprawdziło się na nim powiedzenie filozofa Nietschego, że „człowiek zamordował Boga i teraz podobny do stepowego wilka wyje z rozpacz w ciemną noc”.

Człowiek współczesny pragnie dzisiaj powrotu do zaprzepaszczonych wartości, tęskni za własnym odrodzeniem moralnym, pragnie na swych wyłamanych skrzydłach ponownie wzlecieć pod słońce, gdyż widzi w tym jedyny ratunek dla siebie.

Ludzkość przeżywała często tego rodzaju upadki do piekieł i wloty pod niebo. Jest to niezmienny rytm w dziejach ludzkości. W okresie największego upadku moralnego pojawiali się prorocy i wielcy święci, którzy podobni do św. Jana Chrzciciela, „prostującego ścieżki

Pańskie”, usiłowali wyprowadzić ludzkość z upadku i powieźć ją z powrotem ku najwyższemu Dobru.

Człowiek współczesny stał się więc jakby bezradnym dzieckiem zabłąkanym, nawołującym niespokojnie kogoś, który by go wywiódł na jasną drogę. Ludzkość szuka dziś nowego człowieka. Jedni chcą go widzieć w człowieku świadomym swej pełnej odpowiedzialności za losy świata, inni zaś w człowieku wolnym, wolnym w tym rozumieniu, że wolność nie będzie dla niego wyuzdaną swobodą, lecz również podjęciem się trudnej i bolesnej odpowiedzialności za losy świata. A inni jeszcze pragną odkryć człowieka wyjątkowego i świętego w przekonaniu, że człowiek wyjątkowy i święty – to nie jest człowiek dotknięty jakimś mistycznym obłądkiem, za jakiego jeszcze dzisiaj uchodzi, lecz że to człowiek twórczy i realista, umiejący wybrać najkrótszą i najprostszą drogę. A inni jeszcze owego nowego człowieka widzą w takiej postaci, jaką na przykład był O. Maksymilian Kolbe, zdolny do najwyższej ofiary w przekonaniu, że ofiara ta swym blaskiem porazi wszystkich małego serca, podobnie jak porażony został Szaweł w drodze do Damaszku.

We współczesnym piekle zła, stworzonym przez istotę, mianującą się również człowiekiem, w ponurych bezkresnych nocach i dniach pełnych złości rozpętanej bestii ludzkiej, w godzinach pełnych męki i krzywdy, zwątpienia i rozpacz, gdy człowiek stawał się już jakimś przeklętym tworem biologicznym, w takich ciężkich chwilach, w których łamała się wiara w Boga u ludzi zwątpiałego serca – pojawili się ludzie tak piękni i tak wspaniali w swej ofierze za bliźniego i w swej miłości dla bliźniego, że ich świętość podobnie porażała, jak kogo innego porażała zbrodnia. Ludzie ci stawali się podobni do owych słupów ognistych, wskazujących w mrokach drogę zabłąkanym, stawali się podobni do owych biblijnych proroków, wywodzących swój lud z niewoli, byli podobni do św. Jana Chrzciciela, „prostującego ścieżki Pańskie”, kazali wierzyć w najwyższe Dobro, podnosili z upadku i sycili biednych radosną nowiną, że jest Bóg!...

Ojciec Maksymilian Kolbe stał się dla ludzkości trawionej niepokojem i lękiem, zabłąkanej w ciemnym lesie zbójckim – owym słupem ognistym, rozprasającym mroki, i owym prorokiem biblijnym, wyprowadzającym ją z niewoli szatana, i owym jakby świętym Janem Chrzcicielem, „prostującym ścieżki Pańskie”.

Ojciec Maksymilian Kolbe przekonał ludzkość, że ponad triumfem szatana jest triumf Boga.

Ostatni rozdział:

CZERWONA KORONA

Popołudniowe godziny wlokły się w nieskończoność.

Przypomniał się O. Maksymilianowi „Hymn” św. Franciszka z Asyżu o bracie-słońcu. Wydawało mu się, że w słowach tych nie było tyle gorzkiej ironii, co dzisiaj. Aczkolwiek w święto franciszkańskiej „Pochwale stworzenia” mieściło się przecież najwyższe uwielbienie Boga.

Dzisiaj słońce wydawało się dopustem Bożym.

Niebo było ogromnie błękitne i nieskończone, a oczy ludzkie były szare, jakby przyprószone pyłem i znużone. Spojrzenia czołgały się spod opuchłych powiek, jak skatowane zwierzę. Kiedy spojrzeć w źrenice sąsiadów, niczego w nich nie dostrzeże się, krom tych pragnień, żeby się już wszystko skończyło.

Niechajby się już wszystko skończyło! I te męki znużonego ciała, i to wyczekiwanie śmierci, to powolne, straszne wyczekiwanie śmierci, i ten parszywy lęk o martwych, wyłupiastych oczach, niegodny człowieka, i to wszystko, co człowieka wiąże z życiem, z najbliższymi dla niego ludźmi, ze wspomnieniami, z myślami, z istnieniem na ziemi!...

Godziny wlokły się w nieskończoność.

Jeżeli policzyć je od wczoraj do dzisiaj, pozornie niewiele ich. Na palcach można by je zliczyć, można by je wyrazić cyframi, takimi śmiesznymi znakami bez treści i bez wyrazu, a jednak ziejącymi bezdenną otchłanią cierpienia. Chodzi bowiem o to, że trzeba je przeżywać. Każdy ułamek czasu zamknięty w ich umówionych granicach, każdy najmniejszy nawet ułamek urasta tutaj, na placu apelowym, do ogromnych rozmiarów bez początku i bez końca. Urasta do rozmiarów nieskończoności.

Obolała myśl czepia się tamtego pojęcia nieskończoności i usiłuje stać się podobna do pocisku wyrzuconego w przestrzeń. Próbuje przebić nieskończoność, przelecieć na jej drugi kraniec i zatrzymać się zdumiona. Bo wstrzymała się u stóp samego Boga. Przerazenie czepia się myśli i ściąga ją z powrotem na ziemię. Myśl wraca skruszona, wyzbyta pychy, pokorna pokutnica obleczona w grzebny wór i posypana popiołem.

Godziny wloką się wciąż w nieskończoność, słońce na niebie staje się dopustem Bożym, oczy ludzkie szarzeją coraz bardziej, a myśli przemieniają się w gromadę istot dotkniętych obłędem. Tłoczą się wielką ciżbą, milczące, również szare, jak oczy tamtych ludzi nawiedzone skamieniałym przerażeniem, jak boleściwy Hiob trądem.

Pod nogami błękitnieje pokurczony cień, ludzie dyszą z utrudzenia, coraz ktoś z nich załamie się i opada na ziemię, w swój własny gnój cuchnący i czeka uderzenia lub kopnięcia butem. Oto słychać już kroki! Twarde, podkute kroki!... Zbliżają się, rosną, przemieniają w przeraźliwy jęk!

O, już zatrzymały się!...

Dochodzi chrapliwy krzyk żołnierza, jego przekleństwa, jego zjadliwe szydzenie z ludzkiej nędzy i dochodzą uderzenia podkutego buta o bezwładne ciało na ziemi. Potem słuchać jeszcze jakiegoś szamotania, czyjś jęk, a potem szelest wleczonego ciała po ziemi.

Każdy w szeregu wie dobrze, iż to zwykła kolej losu. Nie wolno się obejrzeć, nie wolno nawet spojrzeniem dotknąć umęczonego towarzysza za sobą. Każdy wie, że poza szeregiem pęcznieje kupa ludzkich ciał. Że jedne rzucają się jeszcze w konwulsjach, inne już zastygły i że śmierć przysiadła z boku i patrzy spokojnie. Nie, to nie jest śmierć!... Przecież to żołnierz, co usiadł na wywróconej skrzyni, z papierosem w kącie ust, smagający od niechcienia po cholewie swego buta. Cholewa lśni w słońcu czarnym błyskiem, a oczy żołnierza łyskają w słońcu krwawym grymasem. Teraz żołnierz wstaje, słońce rozłamuje się w czarne drzazgi na butach. Czapka,

naciśnięta na tył głowy, ślepi wyhaftowaną trupią czaszką nad daszkiem. Spod daszka sycą się zimne oczy widokiem słabego człowieka.

Ojciec Maksymilian przypomina sobie tamte oczy. Kiedyś w Japonii patrzył w takie same oczy na samotnej drożynie w pustkowiu trzcinowym. Nie pamięta tylko, czy to były oczy węża czy innej bestii. Wie tylko, że były to oczy zimne, śliskie i twarde, pełne nienawiści i pychy, jak u tamtego żołnierza. I przypomina sobie jeszcze, że w nieoczekiwanej chwili klasnął strzał, a tamte zimne oczy znikły jak zdmuchnięte światła. A może to było tylko opowiadanie tamtego polskiego emigranta na Cejlonie, gdy gawędził o tajemnicach bambusowych dżungli, gdzie rodzą się święte białe węże i czatują na ludzi pręgowate bestie. Już dobrze nie pamięta.

To było bardzo dawno.

To było tak bardzo dawno, że trudno to sobie wyobrazić. A jednak jakby to jeszcze wczoraj było.

Teraz tamte oczy zbliżają się, zasłaniając cały świat swymi zwężonymi źrenicami.

Rozgorzały na plecach, na karku i na głowie bolesne cięcia. Gęste, twarde, szybkie.

To żołnierz bije bykowcem. Coś krzyczy!... Co on to krzyczy?... O. Maksymilian już wie. Że nie stoi prosto, że się słania, że opuszcza głowę!

No, już dobrze, dobrze!

Żołnierz odchodzi, ale pozostały piekące smugi na grzbiecie i na głowie. A godziny wciąż wloką się w nieskończoność, a słońce kładzie się ogniem na człowieka, myśli zaś przemieniają się w pokornych pątników, co bez odpoczynku wędrują spaloną drogą, „co się trudzą przy blaskach gromu” i każdy ślad znaczą krwią w pyle.

W szeregach powstają luki, za szeregami rośnie zwalisko ciał ludzkich. Myśli zaś płaczą się, jak znużone stopy pątników po skwarnej drodze. Już temu tak dawno, jak tu wszyscy stoją i stoją. Chyba od rana, lecz to bardzo dawno. Wczoraj też wszyscy stali, lecz tylko trzy godziny. Tamte trzy godziny były mrugnięciem powieki wobec dzisiejszych godzin. A może uda się nieszczęsnemu koledze zmylić pogoń, może uda mu się zaszyć gdzieś w gąszczu beskidzkie, może nie zdołają go wytropić ani psy, ani ludzie?... Nikt nie wiedział, kiedy uciekł. Na wieczornym apelu blokowy liczy i liczy, i przeklina. Potem zdaje raport. Powiada, że tego a tego brakuje. Jak to brakuje?... No, po prostu uciekł!... Ale kiedy, dokąd? Zamieszanie, bieganina, przekleństwa!...

Ojciec Maksymilian przymyka oczy i widzi tamtego biedaka. Oto przywarował gdzieś w zagajniku i dygoce ze strachu. Serce jego przemieniło się w drobne piskłę i kwilące bezradnie w trawie, gdy matki koło siebie nie słyszy, a nad sobą widzi krążącego jastrzębia. I dla niego mijane godziny stają się nieskończonością, a granatowe Beskidy na nieboskłonie prawią mu o ciszy i odpoczynku, o swobodzie i o radości zabłąkania się w ich nieobesztych granicach.

- Boże wielki! Pozwól mu schronić się w tamtych Beskidach! Niechaj nie spotka złego człowieka na swej drodze!... Niech uciszy swe serce biedne!...

Wielki tłum więźniów stoi uszeregowany blokami i czeka. Czeką godzinę, czeka drugą godzinę, czeka trzecią... Naokoło krążą żołnierze i ciskają przekleństwami. Biją bykowcami, kopią w golenie, policzkują. W krąg obozu płoną reflektory jak olbrzymie gromnice nad trumnami. Niebo czernieje i mży drobnymi gwiazdami. Po ziemi rozwleka się cuchnąca noc pełna trwogi i przerażenia. Wynurzają się z niej ogromne, wyłupiaste, martwe oczy. Człowiek widzi się osaczonym zwierzęciem. Nie wyjdzie stąd żywy, nie wyjdzie, nie wyjdzie!... Oto śmierć czołga się, śmierć parszywa, podła, drapieżna, upita ludzką krzywdą. Szczerzy zgnile kłańce, szydzi czarnymi oczodołami, podchodzi coraz bliżej i bliżej.

- Wszyscy wracają na bloki! – pada komenda w trupim świetle reflektorów. Głos komendy załamuje się w powtarzane, rozdrobnione echa, szeregi drgnęły i teraz schodzą piątkami z apelowego placu.

- A może, może... - myśli każdy nieśmiało i czepia się tamtej myśli z nielogicznym uporem.

Nazajutrz o świcie znowu apel. Jak wczoraj, jak przed wiekami i jak w nieskończone świty. Słońce wstaje i rozpala obłoki. Obłoki powlekają się złotem i różem, potem przechodzą w srebro i toną w mlecznym błękicie.

Nazajutrz więc wczesnym rankiem apel. Jak zwykle. Jak każdego dnia, niezmiennie, nieskończenie. Aż do kresu życia. I znowu odliczenia, kłątwy, wołania, krzyki i głupie, śmieszne myśli, powleczone nadzieją. Jak tamte obłoki srebrem.

- A może już ów nieszczęśnik ujęty?...

Wszyscy schodzą do pracy grupami otoczeni żołnierzami i psami, obwarowani złymi oczami i karabinami gotowymi do strzału. Po bokach kroczą kapowie o zbójceckich oczach. A co z nami? – Blok dwunasty zostaje na placu apelowym! – woła z nieukrywanym zadowoleniem żołnierz-wartownik.

A więc jednak tamtego jeszcze nie ujęto! O, Chryste Boże!... Jeżeli ucieknie, cały dwunasty blok czeka zemsta komendanta obozu. Komendant Fritsch twierdzi, że to kara. Lecz to nie jest kara. To jest zemsta i pragnienie nasycenia swych żądz. Jakie to żądze, trudno powiedzieć. Może zbrodnicze, może seksualne. Człowiek potrafi swe żądze posegregować, ponalepiać na nie naukowe karteczki, poszufladkować i opisać w mądrych księgach. Lecz serce ludzkie tego nie potrafi. Serce ludzkie, to ogromnie głupiutkie serce ludzkie jest stokroć mądrzejsze od ludzkiego rozumu. Serce ludzkie powie po prostu, że komendant Fritsch – to nie człowiek. Komendant Fritsch – to płód szatana, tego samego szatana, którego wieki średnie wypatrzyły w grzechu i uzmysłowiły w kamiennym kształcie chimery czy „le stryge” na gzymsie gotyckiej wieży Notre Dame.

Blok dwunasty pozostał więc na placu apelowym.

O godzinie trzeciej po południu komendant Fritsch pozwolił zejść do baraku na kilkanaście minut, by ludzie mogli zjeść pół miski zgniłej marchwi czy niedogotowanej kapusty. A potem znowu pędem na plac apelowy.

Boże, jak wloką się te godziny bez końca!

U ich kresu czeka śmierć wymyślona przez szatańskiego bastarda. Wprawdzie śmierć nie jest straszna. Ktoś powie, że to przejście z jednego pokoju do drugiego, że trzeba tylko odsunąć dłonią ciężką, czarną zasłonę, co przegradza wstęp. Tylko próg się przekroczy i już dobrze. Lecz zanim dojdzie się do zasłony, trzeba przejść piekło.

Ojciec Maksymilian uśmiecha się, bo on tak nie myśli.

Ojciec Maksymilian uśmiecha się, bo jest mądry ową mądrością serca, która wie bardzo dobrze, że aby dojść do tamtego progu z czarną zasłoną, nie trzeba brodzić przez piekło. O, nie!...

Ojciec Maksymilian wie, że do tamtego progu można dojść podobnie, jak dziecko idące po łące. I że można się podobnie uśmiechać, jak uśmiecha się owo dziecko. I wie jeszcze więcej!... Że za tamtym progiem, za tamtą czarną kotarą czeka na niego ogromnie błękitne szczęście, tak wielkie, że w ludzkim języku nie masz słów na jego ujęcie. Najpiękniejsze hymny Psalmistów Bożych i najpiękniejsze słowa Proroków Bożych i widzenia Świętych Pańskich i zamyślenia Ojców Kościoła – wszystko to podobne do niezdarnego bełkotu niemowy. Jedynie serce ludzkie, znowu to pozornie ogromnie głupiutkie serce ludzkie przeczuwa, co zdrożonego człowieka czeka za czarną kotarą.

Serce Ojca Maksymiliana wie na pewno, że za czarną kotarą czeka na niego Matka Najświętsza Niepokalana, uśmiechnięta, miłosiernie patrząca na swego biedaczynę, co do Niej przez całe swe pracowite życie wędrował od jednego krańca ziemi po jej drugi kraniec. Serce Maksymiliana nie przeczuwa tego, lecz wie, na pewno wie. Wszak ono podobne do serca małego dziecka, co przez łąkę biegnie rozradowane, bo na jej skraju, na białej drodze matka stoi i czeka...

Słońce już teraz nie jest dopustem Bożym, lecz gorejącym hymnem na cześć Najświętszej Matki Niepokalanej. Nawet już sam „krwawy kapo” Krott, nie jest krwawym kapem, lecz biednym, nędznym, obłąkanym człowiekiem, godnym współczucia i miłości. Cóż z tego, że przez dwa tygodnie usiłował go wykończyć, że przez dwa tygodnie znęcał się nad nim, że kładł mu trzy razy większy ciężar na barki czy do tacek, aniżeli innym i zmuszał go biciem do biegu tam i z powrotem. To wszystko nic. To wszystko ogromnie śmieszne i małe. I cóż z tego, że w ostatnim dniu drugiego tygodnia O. Maksymilian upadł pod ciężarem i że „krwawy kapo” Krott skopał go na ziemi, że połamał drąg na nim, że go w końcu kazał położyć przez pień i najsilniejszym ze swych pomocników bić, bić i bić, aż do ostatka. A potem omdłego kazał zawlec w bagniska, nakryć kupą gałęzi i czekał jego skonu do wieczora. To wszystko nic!... Widać „krwawy kapo” Krott, zawodowy zbrodniarz, cierpi na niemoc, która go przyprawia o obłąd. Cierpi bez ochyby na jakiś ponury kompleks niższości, jak cierpiał nań ów strażnik na Pawiaku, domagający się trzykrotnie wyparcia się Chrystusa, a świadomość owej niższości urastała u kapa do bolesnego, strasznego szaleństwa na widok spokojnych, cichych, głębokich, a tak bardzo mocnych oczu O. Maksymiliana.

- Muszę tego przeklętego klechę wykończyć!... – postanawiał tylekroć, ile razy spotkał się z jego spojrzeniem. Nie mógł go znieść! On te oczy musi zgasić, bo inaczej oszaleje!... W taki sposób musi się zemścić, żeby powolne konanie O. Maksymiliana, konanie odmierzone z godziny na godzinę, zdołało wypełnić w nim ową potworną pustkę, czarną pustkę, w której

widzi się nędznym robakiem opuszczonym przez wszystkich, przeklętym przez Boga i przez ludzi!...

Ojciec Maksymilian nie skonał w bagnisku pod kupą narzuconych gałęzi. Gdy koledzy nieśli go do obozu, „krwawy kapo” Krott szedł obok i sycił się swoim zwycięstwem. Bo oto wloką już żywego trupa, który jutro, pojutrze skona. A wraz z nim skonąją jego oczy!...

Ojciec Kolbe uśmiecha się do tych dziwnych wspomnień i patrzy na nie, jak na żmudną drogę wiodącą go do Niepokalanej. O tak!... Przewędrował cały świat od jednego krańca jego po drugi kraniec, od polskiego Niepokalanowa aż do Mugenzai no Sono, lecz droga ta była prosta, łagodna, biała. Ten ostatni odcinek jej, wiodący przez oświęcimski obóz, wydawałby się komuś najtrudniejszy. Stromy, bo stromy, kamienisty i skwarny, bezwodny i bolesny, lecz jakież radosny!...

Ojciec Maksymilian przechodzi w lazarecie zapalenie płuc. Piękne to były chwile! W gorączkowych majaczeniach patrzył w niesłychanie błękitne oczy swej umiłowanej Matki Najświętszej Niepokalanej. Potem nastąpił powrót na ziemię, gorączka powoli spadała, a towarzysze naokoło byli przecież tak bardzo nieszczęśliwi. Ich chore serca i chore dusze może jedynie słowo Boże uzdrowić. Szafarzy więc owym słowem Bożym po królewsku, a tamci słuchają i słuchają, jak słuchały ongiś dzieci w Mugenzai no Sono, i jakby im się wierzyć nie chciało. O, Boże, tak temu jest?... O, tak! Nie inaczej!... A cięży ci grzech, bracie najmilszy, przyjdź do spowiedzi do mnie, do łózka, boć jeszcze nie mogę się ruszać. Lecz tak, by nikt nie zauważył, że spowiadać się pragniesz!... Są bowiem nieszczęśliwi ludzie, którzy w zawiści swej doniosą tamtym, by się przypochlebić, jak zбитy pies łaszeniem pragnie łaskę swego pana pozyskać. I wtedy wykończą cię!... Wiesz przecież, że otwarcie nie wolno ci się przeżegnać ani pomodlić, ani spowiadać!... Ukradkiem więc podchodź do mnie, udawaj, że mi opowiadasz na przykład o swoim ostatnim liście z domu czy o swoich najbliższych, a tymczasem kajaj się i wyszeptuj swoje grzechy!...

- A przede wszystkim wierz w opiekę Matki Najświętszej Niepokalanej! – przymawiał każdemu z miłością.

Oto już schodzą komanda z pracy, ustawiają się blokami na apelowym placu. Wszyscy patrzą ze współczuciem na swoich towarzyszy z bloku dwunastego. Od rana przecież stoją. A między nimi ów dziwny zakonnik, O. Maksymilian, co to często w popołudnie niedzielne, wolne od pracy, zbierał koło siebie towarzyszy, siadał na przewróconej taczce i kazał do nich jakieś święte i miłujące słowa. Wszyscy wiedzą, bo go widzieli, jak siedział trzęsący się z osłabienia na taczce, w brudnych pasiakach, posiniaczony, a koło niego siedziała na ziemi skulona gromada, podobna do owrzodziałych Hiobów i do gromady żywych szkieletów, o dziwnie płonących oczach, zasłuchanych w jego słowa, zapominająca o całym świecie pełnym gnoju i przekleństwa, zbrodni i dymu z płonącego obok krematorium. O. Maksymilian zaś prawił im o miłosierdziu Bożym, o niezbadanych wyrokach Pańskich, o drodze odkupienia, o miłowaniu swych nieprzyjaciół, o wierze, o takiej niezachwianej, dziecięcej wierze w opiekę Niepokalanej, a kończąc, czynił nad nimi krzyż wielki i kazał im się rozchodzić w pokoju. Dziwne to bywało widowisko, wspomniane jedynie w starych księgach mówiących o pierwszych chrześcijanach w Rzymie.

Od rana więc tak stoją, a między nimi ów człowiek, O. Maksymilian. Za ich szeregami zaś wznosi się wielki zwał trupów i dogorywających towarzyszy. Rzucani są na kupę, jak wory z piaskiem. Nic dziwnego przecież, wszak na bloku dwunastym tylko inwalidzi i tak zwani ozdrowieńcy, skazani na pół racji żywności, gdyż nie pracują.

Wszyscy patrzą więc ze współczuciem na swych towarzyszy z bloku dwunastego i patrzą z przerażeniem na krwawe pokłosie całego dnia, zastygłe już w męce lub konające za szeregiem. A zbiegłego towarzysza jeszcze, widać, nie ujęto!... Co to będzie?... O, Chryste Boże!...

Spoza kręgu trupiego światła reflektorów, z głębi nocy wynurzają się znowu te straszne, wyłupiaste, martwe oczy lęku!...

Odbył się apel wieczorny, blokowi zdali stan liczebny swych załóg, wszyscy stoją w milczeniu i czekają.

Oto z gromady podoficerów esmańskich odłącza się komendant Fritsch. Obok niego idzie Raportführer Palitch i kilku żołnierzy esmańskich. Każdy ich krok odmierzony, każdy krok syci ich pychą. Czują na sobie spojrzenia tysiąca, tysiąca ludzi, spojrzenia przerażone i każdy wyczuwa teraz iście szatańską radość. Cóż to bowiem za wspaniałe przeżycie czuć się w takiej chwili jedynym panem tamtego robactwa!... Pieniądz nie daje tej rozkoszy, ile rozkoszy daje im świadomość przewagi nad tłumem ludzi o przerażonych sercach i zepchniętych na ostatnie dno nędzy. Wszak oto jedna jedyna myśl, jedno jedyne słowo, a patrzeć można z wyżyn na zdeptane życie ludzkie!...

Idzie więc komendant Fritsch i pasie swe czarcie serce trwożą bezbronnego tłumu. Stał wreszcie przed szeregiem dwunastego bloku, wsunął lewą dłoń za pas i zaczął cedzić przez zęby:

- Ponieważ zbiegły więzień nie został jeszcze ujęty, przeto dziesięciu więźniów z bloku dwunastego przeznaczam na śmierć głodową w bunkrze!... Za karę i jako przestrożę na przyszłość!...

A więc jednak!

Tysiące więźniów na placu apelowym zamarło w milczeniu. Słychać tylko przyśpieszony łomot serc struchlałych i przyśpieszony oddech zduszonych piersi. A przerażone myśli latają w świetle reflektorów jak ćmy o wielkich, wyłupiastych, martwych oczach.

Komendant Fritsch zaś przeżywa największą rozkosz. Oto wycedził słowa, a każde z nich, to jak skinienie dłonią potężnego króla, imperatora rzymskiego, a za każdym skinieniem gaśnie życie ludzkie!... O, jaka to szatańska rozkosz, jaka niewystłowiona rozkosz!... Podchodzi do pierwszego szeregu i nieznacznym ruchem dłoni wskazuje na upatrzonogo.

- Ty pójdziesz!

Czyni to jakby od niechcienia. Pierwszemu szeregowi każe posunąć się o trzy kroki, szuka w drugim szeregu. I znów na jednego wskazał. Potem w trzecim szeregu, w czwartym i w następnych. Raportführer Palitch zapisuje skwapliwie skazanych na śmierć. A Fritsch wędruje powoli od szeregu do szeregu i wciąż pasie się widokiem nieprzytomnych oczu, syci się ludzką

trwogą. Twarz jego przemienia się w maskę szatana z narożnika gotyckiej wieży Notre Dame w Paryżu.

- Wszyscy wybrani wystąpić i ustawić się na końcu bloku! – pada znowu komenda.

Z szeregów wychodzą ludzie załamani, młodzi i starzy, patrzący niewierzącymi oczami na swych kolegów, szepczący święte słowa, a parszywy, taki okropny lęk dławi ich serca, tłumi oddechy, myśli przemienia w spiętrzony, niemy, okropny krzyk!...

Los padł na sąsiada O. Maksymiliana.

- O Jezusie święty! – skamle szeptem. – Na śmierć głodową!... A w domu czeka mnie żona i dzieci!... Boże, ja nie chcę umierać!...

O. Maksymilian tak bardzo przeżywa mękę swego sąsiada. Popatrzył mu w oczy i już postanowił. Uśmiechnął się do swego postanowienia. Teraz występuje z szeregów i zmierza w kierunku komendanta Fritscha.

- Was ist los? – krzyczy Rapportführer, chcąc go zmusić do powrotu. O. Maksymilian dochodzi do Fritscha i mówi spokojnie:

- Chcę pójść na śmierć za swego kolegę. Proszę mnie przeznaczyć na jego miejsce!

Uszeregowane tłumy wstają na palce, patrzą zdumione na tę scenę.

- To O. Maksymilian!... To Ojciec Maksymilian!... zgłasza się dobrowolnie na śmierć za swego współtowarzysza!... – leci osłupiały szept w tłumie.

Zaskoczony komendant milczy. Mierzy niewierzącymi oczami O. Maksymiliana, biedaczynę Bożego, patrzy na niego w zdumieniu, chwilę coś waży w myślach, potem opanowuje się i rzuca chłodne pytanie:

- Zawód?

- Ksiądz katolicki!

- Dlaczego chcesz pójść za tamtego?

- On jest potrzebny swoim dzieciom i żonie, ja już nikomu!

Komendant wciąż jeszcze nie wierzy. I znowu myśli, bo nie może zrozumieć tego dziwnego człowieka. Coś łamie się w nim, coś kruszy z łoskotem!... Opanował się.

- Zgadzam się! – rzuca z wysiłkiem, lecz z ulgą.

O. Maksymilian idzie za ostatni szereg dwunastego bloku, gdy jego współtowarzysz Franciszek Gajowniczek wraca na dawne miejsce. Patrząc teraz na tysiące swych towarzyszy, Ojciec Maksymilian uśmiecha się do nich spokojnie. Dziękuje Niepokalanej, że umiał za Jej sprawą wybrać prawdziwą drogę. Dziękuje Jej za „czerwoną koronę”.

Żołnierz esmański odprowadza wszystkich do podziemnego bunkra na śmierć głodową. Ojciec Maksymilian zaś odmawia modlitwę za konających, za swoich dziewięciu współtowarzyszy i za siebie.

* * *

W głodowym bunkrze mijały dni. O. Maksymilian wraz ze swymi współtowarzyszami modlił się głośno i śpiewał. Wtórowali mu więźniowie w sąsiednich bunkrach. Podziemie zamieniło się w katakumby, gdzie wierni chrześcijanie przygotowują się na śmierć i wielbią Pana. Z dniem każdym głosy ich cichły, przemieniały się w szept. Współtowarzysze umierali z głodu i pragnienia. Ojciec Maksymilian najdłużej się modlił i czekał na śmierć.

Po dwóch tygodniach pozostało jeszcze tylko czterech. Wśród nich także O. Maksymilian Kolbe. Wydawało się to władzy za długo, cela była potrzebna dla nowych ofiar. Toteż pewnego dnia przyprowadzili esmani kierownika izby chorych, Niemca, przestępcę kryminalnego nazwiskiem Bock, który każdemu po kolei dał zastrzyk kwasu karbolowego. Ojciec Maksymilian umarł jako święty, dobity zastrzykiem fenolu w żyłę lewego ramienia.

Działo się to w wigilię Wniebowzięcia Matki Najświętszej, dnia 14 sierpnia 1941 roku.

Przedruk: Gustaw Morcinek, Dwie korony. Rzecz o Ojcu Maksymilianie Maria Kolbem, Niepokalanów 1948, Nakładem Centrali „Milicji Niepokalanej”.

ŚW. MAKSYMILIAN MARIA KOLBE

Urodził się 8 I 1894 r. w Zduńskiej Woli. Rodzice – Juliusz i Marianna – zajmowali się chałupniczo tkactwem. W poszukiwaniu lepszych warunków życia przenieśli się do Pabianic. Byli bardzo religijni, należeli do Trzeciego Zakonu św. Franciszka.

Rajmund był dzieckiem bardzo żywym, zdradzał duże zdolności matematyczne; cechowało go też głębokie nabożeństwo do Matki Bożej. W 1907 r. rozpoczął naukę w małym seminarium franciszkanów we Lwowie. Tam w 1910 r. rozpoczął nowicjat i otrzymał imię zakonne Maksymilian. Studia rozpoczął w 1912 r. w Krakowie, ale już kilka miesięcy później ten wybitnie uzdolniony seminarzysta został wysłany do Rzymu, do Międzynarodowego Kolegium Serafickiego. Dwa lata później złożył śluby wieczyste, a do imienia Maksymilian dodał imię Maria.

W 1916 r. uzyskał doktorat z filozofii na Uniwersytecie Gregoriańskim, po trzech latach doktorat z teologii. Obok tych studiów nadal interesował się naukami ścisłymi. W urzędzie patentowym złożył projekt „Eteroplanu”, trójczłonowej rakiety nośnej, która miałaby umożliwić podróż w kosmos.

28 IV 1918 r. o. Maksymilian przyjął w Rzymie święcenia kapłańskie, a w następnym roku wrócił do Polski i został wykładowcą historii Kościoła. Jeszcze w Rzymie w 1917 r. założył religijny związek o charakterze apostołskim: Rycerstwo Niepokalanej (Militia Immaculatae). Celem związku stała się walka o nawrócenie schizmatyków, heretyków i masonów. Jego działalność przeniósł do Polski, będąc mu wierny aż do śmierci. Zapleczem ideowym stowarzyszenia stał się wydawany od 1922 r. w Krakowie miesięcznik „Rycerz Niepokalanej”. Wydawany następnie w Grodnie, a później w Niepokalanowie, krótko przed II wojną światową osiągnął nakład miliona egzemplarzy.

Tuż po powrocie do Polski zachorował na gruźlicę. Przerwał pracę wykładowcy i leczył się w Zakopanem. Choroba nie powstrzymała jego pracy apostołskiej. Rozwijające się Rycerstwo Niepokalanej pobłogosławił Pius XI, zaś o. Kolbe systematycznie przyjmował w szeregi związku nowych członków. Zaczął szukać nowej siedziby w centrum Polski, a wtedy ksiądz Jan Drucki-Lubecki ofiarował mu w okolicach Warszawy 5 morgów pola ze swego majątku Teresin. Ojciec Kolbe zjawił się tam 6 VIII 1927 r. i to był początek Niepokalanowa. Najpierw postawił tam figurę Niepokalanej, a potem zbudował kaplicę i postawił baraki.

Gdy klasztor rozwinął się, podjął nowe wyzwanie – dzieło ewangelizacji Dalekiego Wschodu. Udał się tam z 4 braćmi zakonnymi. Najpierw zatrzymał się w Szanghaju, a gdy napotkał sprzeciw ze strony tamtejszego biskupa, o. Kolbe udał się do Japonii. Już po 3 miesiącach miał własną drukarnię, w której wydawał „Rycerza Japońskiego”. W 1931 r. do zgromadzenia wstąpił pierwszy Japończyk. Wtedy też zaczęła się budowa „japońskiego” Niepokalanowa, które otrzymało nazwę Mugenzai no Sono – Ogród Niepokalanej.

Kiedy japońska placówka okrzepła, w 1936 r. o. Kolbe powrócił do Polski, a kapituła zakonna obrała go przełożonym Niepokalanowa. Do zakonu każdego roku zgłaszało się około 1800 kandydatów, z których przyjmowano jedynie stu. W 1939 r. Niepokalanów był największym klasztorem na świecie. Przebywało w nim 13 ojców, 18 kleryków-nowicjuszy, 527 braci profesów, 82 kandydatów na braci i 122 uczniów w niższym seminarium.

Imponująco wyglądał nakład czasopism wydawanych w Niepokalanowie: „Rycerz Niepokalanej” – 750 tys. egzemplarzy, „Rycerzyk Niepokalanej” i „Mały Rycerzyk Niepokalanej” – łącznie 221 tys. egzemplarzy, „Mały Dziennik” wychodził w codziennym nakładzie 137 tys., a jego niedzielne wydanie liczyło 225 tys. egzemplarzy. Drukowano „Informator Rycerstwa Niepokalanej”, „Biuletyn Misyjny” i „Echo Niepokalanowa”. Wielką popularnością cieszył się „Kalendarz Niepokalanej”, który w 1937 r. osiągnął nakład 440 tys. egzemplarzy. Od 1938 r. Niepokalanów miał własną radiostację.

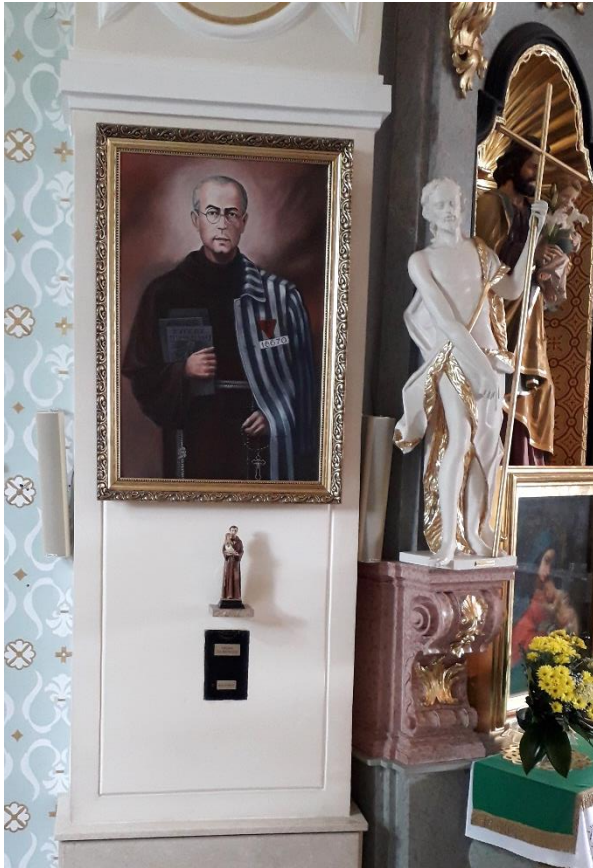
Po wybuchu II wojny światowej Niemcy weszli do Niepokalanowa już 12 września. Zakonnicy, którzy byli wraz z o. Maksymilianem w klasztorze, zostali aresztowani tydzień później. Wywieziono ich najpierw do obozu w Łambinowicach, potem do Gębic (Amteitz) i na koniec do Ostrzeszowa. Zostali zwolnieni 8 XII 1939 r. O. Kolbe wrócił do Niepokalanowa, gdzie podjął się udzielenia pomocy ok. 3 tysiącom wysiedleńców z poznańskiego, wśród których było ok. 2 tys. Żydów. Nie było mowy o działalności wydawniczej, organizował dla nich warsztaty rzemieślnicze.

O. Kolbe został ponownie aresztowany przez gestapo 17 II 1941 r. Został osadzony na Pawiaku, a 28 V 1941 r., razem z 303 więźniami został wywieziony do Auschwitz, gdzie otrzymał numer obozowy 16670. W obozie śmierci został przydzielony do oddziału kryminalisty zwanego Krwawym Krottem”. Znęcał się on nad zakonnikami, a pewnego razu pobił go tak dotkliwie, że sądził, iż ofiara nie żyje.

Pod koniec lipca 1941 r. z bloku, w którym był osadzony o. Kolbe uciekł więzień. W odwecie Krott postanowił skazać 10 więźniów na śmierć głodową. O. Kolbe zgłosił się dobrowolnie za innego więźnia, Franciszka Gajownicza, ojca licznej rodziny. Spędził w bunkrze głodowym

dwa tygodnie, ostatecznie uśmiercony 14 VIII 1941 r. zastrzykiem fenolu. Ciało zostało spalone w krematorium.

Ojciec Maksymilian Maria Kolbe został beatyfikowany 17 X 1971 r. przez papieża Pawła VI, a kanonizacji dokonał papież Jan Paweł II 10 X 1982 r. Papież odwiedził Niepokalanów w 1983 r. Wówczas odbyły się tam uroczystości pokanonizacyjne.



*Obraz św. Maksymiliana Kolbe
w skoczowskim kościele
pw. śś. Apostołów Piotra i Pawła*

Służąc Bogu, służyli Polsce, t. III, Wyd.
Diecezjalne w Sandomierzu, s. 69-72.

*Św. Jan Sarkander, św. Maksymilian Kolbe,
św. Melchior Grodziecki – współpatroni
Diecezji Bielsko-Żywieckiej*

